



Czego uczy nas żałoba?

Autor: Redakcja

Dzisiaj w nocy zmarł nagle hm. Lech Najbauer – dawny drużynowy 16 WDH, współzałożyciel i Komendant Główny HOPR, wieloletni członek władz naczelnych i wiceprzewodniczący ZHR, członek sądu harcerskiego, przewodniczący Okręgu Mazowieckiego. Przyjaciel Jakobstaf! i Pobudki.



Wszystkim tym którzy dzisiaj Lecha oplakują, chcemy przypomnieć jego artykuł, który ukazał się pierwotnie w numerze 24 Pobudki z kwietnia 2010 r.

Mija ósmy dzień od katastrofy pod Smoleńskiem. Kiedy to piszę, nad Wawelem słychać armatnie wystrzały. Kiedy to będziesz czytać – ich echo dawno wybrzmi. Pozostaną z pewnością jakieś urywki zasłyszanych zdań, fragmenty zapamiętanych obrazów, może wspomnienia chwil wzruszenia i rzadko doświadczanej jedności. Telewizyjne relacje spod Pałacu Prezydenckiego były pełne takich obrazów: dziewczynka, może sześćioletnia, mówi: „Pan prezydent to bardzo ważny człowiek” i gdy wypowiada ostatnie słowa jej buzia



wykrzywia się i z oczu wypływają łzy; a potem tuli się do matki, która kładzie dłoń na jej głowie. Choć w katastrofie zginęło blisko sto osób, a byli wśród nich ludzie szczególnie bliscy harcerstwu i naszemu Związkowi, to jednak dwie skupiły w sobie smutek nas wszystkich, jakby w imieniu pozostałych, z którymi dzieliły ostatnie chwile życia.

Kiedy usłyszałem o wypadku samolotu, oczywiście nie dowierzałem. Kiedy powiedziano, że zginęło 87 osób spośród ponad 90 - myślałem, że prezydent jest na pewno wśród ocalałych. Kiedy wreszcie potwierdzono, że nikt się nie uratował... Do dziś, mimo oznak żałoby, wydaje mi się chwilami, że to się jednak nie stało, że jeśli zdarzyła się jakaś katastrofa, to nie dotknęła nas, ale jakiś daleki, obcy kraj, że Polski nie mogło spotkać takie nieszczęście.

Oczekujemy racjonalnych wytłumaczeń, ale gdy ich brak, z fatalistycznym zdumieniem dostrzegamy symboliczne szczegóły, które wprawdzie nic nie wyjaśniają, ale dają poczucie dostępu do jakiejś tajemnicy. Z rezygnacją mówimy: tak być musiało. Musiało, skoro stało się w 70-tą rocznicę mordu polskich jeńców i to niemal dokładnie w miejscu zbrodni i pochówku ofiar. Musiało, skoro dzięki tej tragedii świat przypomniał sobie o Katyniu, o zdradzie Sowietów, a może i o własnej dwulicowości. Musiało, skoro zdarzyło się w pięć lat po odejściu papieża-Polaka, znów, tak jak w 2005 roku, w sobotnią wigilię niedzieli Miłosierdzia Bożego.

Pogódźmy się z tym, że nigdy nie otrzymamy jednej, pewnej i kompletnej odpowiedzi na pytanie o sens tego wydarzenia. Jakkolwiek byśmy je nazywali, czy definiowali, nieważne, czy uznany, że była to największa tragedia Polski od czasów II wojny, czy najważniejsze wydarzenie od czasu wyboru Polaka na biskupa Rzymu. Być może każdy musi je przeżyć i rozważyć po swojemu, sam, we własnym sumieniu i rozumie. Nawet pisanie o tym w pierwszej chwili wydaje się bezcelowe. A jednak - pewne myśli i pytania, z pewnością nie wszystkie i nie od razu, powinny zostać sformułowane.

Myśl pierwsza - czy po tym, co się stało, jesteśmy lepszymi harcerkami i harcerzami? Służba pełniona przez nas w ostatnim tygodniu mogłaby wbić nas w pychę, bo byliśmy jednymi z pierwszych, którzy pojawili się w sobotnie południe pod Pałacem Prezydenckim, stawiliśmy się na odprawach w naszych chorągwiach i okręgach i jeszcze tej samej soboty organizowaliśmy zabezpieczenia pierwszych żałobnych uroczystości. Czy jesteśmy gotowi zmierzyć się z własnym samouwielbieniem? A może ono nam w ogóle nie grozi?

Myślę, że jesteśmy bezpieczni. W pewnym sensie tego rodzaju doświadczenia umacniają nas w drodze do ideału, a jednocześnie nie pozwalają się na niej zatrzymać. Dlatego sądzę, że będziemy lepsi, bo bogatsi o doświadczenie służby, poświęcenia i niemal natychmiastowej gotowości. Nie czekając na rozkazy „z góry” zorganizowaliśmy pola działań tam, gdzie niosący chętną pomoc bliźnim byli najbardziej potrzebni.

Nie jesteśmy wszakże samotną wyspą moralności na morzu niegodziwości. Wiele tysięcy ludzi ma prawo do tych samych odczuć. Mówili do kamer telewizyjnych pod Pałacem Prezydenckim, że musieli przyjść, bo to ich obowiązek, bo zamiast siedzieć przed ekranem,



czuli, że należy dać osobiste świadectwo, złożyć hołd, podziękować, pożegnać się. Niektórzy zastrzegali, że w ich wypadku była to kwestia poczucia uczciwości, nawet wyrzutów sumienia, a może żalu nad własną małością. Dużo osób, uświadomiwszy sobie rozmiar tragedii, szukało oparcia we wspólnocie; czuli, że muszą być razem, aby wspomóc innych i jednocześnie od nich doznać wspomnienia. Nasze harcerskie podejście polega jednak na czymś innym. My nie pojawiliśmy się pod pałacem i pod kościołami z poczucia obowiązku czy winy, albo po to, by szukać wsparcia. Nie po to także, jak sędzę, żeby poprzestać na oddaniu hołdu w skupieniu, albo by uronić kilka łez skrycie lub otwarcie. Przyszliśmy dlatego, że czujemy ogromną i nieodpartą potrzebę bycia pożytecznymi. W nakazie służby znajdujemy nie tyle nakaz właśnie, ile silną motywację do realizowania elementarnego ideału człowieczeństwa: niesienia pomocy. Tylko pozbawieni kalkulacyjnego myślenia na zasadzie „do ut des” mogliśmy spontanicznie podjąć się służby, nie oczekując niczego w zamian, może poza poczuciem pewności, tak – absolutnej pewności, że się robi to, co należy.

Myśl druga – czy nasz kraj, miasto, w którym żyjemy, zmieni się? Słyszymy, że w wielu miejscach z inicjatywy ludzi aktywnych lokalnie, pojawiają się pomysły, aby mostom, placom, ulicom nadać nazwy ofiar katastrofy. Szczególnie często padają propozycje uczczenia w ten sposób pamięci Lecha i Marii Kaczyńskich. Czy naprawdę trzeba było ich dramatycznego odejścia, aby zostali zauważeni i docenieni? Jak przygnębiająco z dzisiejszej perspektywy wygląda awantura, którą wywołała propozycja nadania Lechowi Kaczyńskiemu honorowego obywatelstwa Krakowa, w którym teraz spoczywają jego szczątki. Dlaczego dopiero śmierć ubiera w godność ludzi, których za życia wytrwale się z niej odziera?

Niestety – nie mam złudzeń co do masowości polskiego nawrócenia. To samo obiecywaliśmy pięć lat temu i, jak doskonale wiemy, zawiedliśmy się na sobie. Przez miniony tydzień zdarzało mi się z uwagą obserwować zachowanie kierowców, którzy umieścili na samochodach czarne wstążki. Przykro to mówić, ale chyba o tym nie pamiętali, a w każdym razie nie potwierdzali szczerości tej manifestacji, bo nie potrafili powstrzymać się przed niebezpieczną jazdą, przekraczaniem przepisów, parkowaniem byle gdzie i byle jak. Po co więc te czarne kokardy? Po co ten deklarowany ból, który nie oczyszcza i nie zmienia? To prawda: nie było w Polsce większego nieszczęścia od wielu lat. Lecz jeśli nas ono nie przekształci, to co jeszcze musi się zdarzyć, abyśmy stali się wreszcie społeczeństwem ludzi uczciwych, sumiennych, uprzejmych i szanujących się nawzajem?

I wreszcie myśl trzecia – jaką naukę nam, żywym, przekazują umarli? W dniach żałoby można było wielokrotnie odnieść wrażenie hipokryzji ludzi zawodowo wypowiadających się publicznie, dziennikarzy i polityków. Nie było to wrażenie dominujące, większość osób mówiła godnie i szczerze. Ale przecież nie sposób zapomnieć, jak wielu pracowników mediów jeszcze niedawno kpiło z potknięć, niedoskonałości czy nieporadności osób, które dziś bez mrugnięcia okiem nazywają najlepszymi synami ojczyzny, wielki Polakami, wiernymi swojemu posłannictwu. Nie można pominąć politycznych przeciwników tragicznie zmarłych, których opinie, jak teraz odczuwamy, rażąco krzywdzące i niesprawiedliwe, nie robiły na nikim wrażenia niestosownych, póki byli nimi obdarzani żyjący. To prawda –



odmiennych poglądów, ale przecież ta odmienność raczej zagrzewała do obcesowej polemiki, niż skłaniała do zastanowienia nad ich treścią. Nie chodzi to tu tylko o prezydenta, będącego ulubionym celem płytkich żartów; wielu urzędników spośród ofiar katastrofy stało się bohaterami krzywdzących opinii i stronniczych relacji.

Jak podle, okropnie, obrzydliwie muszą się czuć ci, którzy kilka tygodni temu publicznie obrażali dzisiejsze ofiary. Jak ciężko musi być tym ludziom spojrzeć innym w oczy.

Ktoś powiedział niedawno, że szacunek dla godności człowieka wyraża się w tym, iż krytykę poglądów trzeba oddzielić od krytyki osoby. To wciąż za mało. Jakkolwiek paradoksalnie to zabrzmiało, krytyka musi przede wszystkim być świadectwem poszanowania godności. Myślmy dziś o żywych tak, jakby mieli odejść jutro. Mówmy o nich w sposób, który spowoduje, że swoich słów nie będziemy musieli się wstydzic jako przejawów własnej niesprawiedliwości. Wyrażajmy oceny, które nie przyniosą nam ujmy, gdy zostaniemy zaskoczeni faktem ich nagłej śmierci. Dla pożytku naszych sumień i dla pożytku tych, którzy biorą z nas przykład.

Zdjęcia w tekście z zasobów ArchiwumHarcerskie.pl

Zdjęcie z nagłówka: Jędrzej Roślan, również wychowanek Warszawskiej Szesnastki





Czego uczy nas żałoba?





Czego uczy nas żałoba?







Czego uczy nas żałoba?



[Redakcja](#)

Zastęp służbowy oddelegowany do poszukiwania artykułów w wartościowych miejscach, wypytywania władz o praktyczne porady oraz znajdowania odpowiedniego cytatu na dowolną okazję.